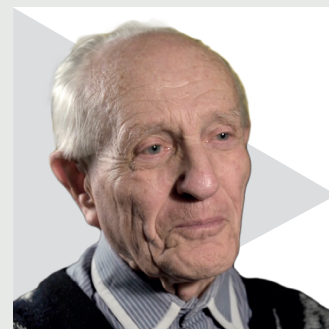




Mieczysław Chojnacki

część I z VII

Sygnatura notacji: **N0867**
Data urodzenia: **26.03.1924 r.**
Data nagrania: **11.02.2014 r.**
Miejsce nagrania: **dom świadka, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sudoł, Maciej Żuczkowski**
Czas nagrania: **cz. I: 49 min, cz. II: 53 min, cz. III: 39, cz. IV: 69, cz. V: 86,**
Format nagrania: **video** **cz. VI: 55, cz. VII: 68**
Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Mieczysław Chojnacki: Nazywam się Mieczysław Chojnacki i mój pseudonim „Młodzik”. To jest stopień harcerski, po szeregowcu następnym. Urodziłem się 26 marca 1924 roku i pochodzę właśnie z Sierpca, małego miasta powiatowego na północy, na zachodnim Mazowszu. Zostałem na skutek mojej przynależności do ROAK-u, zostałem zatrzymany koło Wrocławia. To był 10 lub 11 marca 1950 roku w miejscowości Długołęka w powiecie oleśnickim, gdzie pracowałem jako pomoc geodety. Przewieziono mnie do Informacji na Sztabowej we Wrocławiu. Tam miałem śledztwo przez cztery miesiące do lipca 1950 roku. Potem przekazano mnie do Warszawy i przez tydzień przebywałem w Informacji na Chałubińskiego. Stamtąd przewieźli mnie na ulicę Sierakowskiego i znów mnie przetrzymywali przez około tydzień, dwa tygodnie. Wtedy przyjechali po mnie funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa w Sierpcu i jak się wyrazili, że mnie zabierają do mamy. Więc przywieźli mnie do Sierpca i jeszcze do listopada... od lipca do listopada tam było śledztwo. To śledztwo już nie było dokuczliwe. Można powiedzieć, że nawet na mnie nie powiedzieli nic złego, ponieważ w śledztwo z Informacji to wierzyli tak, jak chyba katolicy nie wierzą w Pismo Święte. Tam każda litera to dla nich była ważna i ja szedłem tym tropem, bo się szybko zorientowałem, w czym rzecz i to śledztwo przebiegło w sposób spokojny. Miałem sprawę pokazową w Sierpcu. Ona odbyła się 22 grudnia, parę dni przed Wigilią. Wypytywano mnie o sprawy, o akcje różne, które tam na terenie powiatu sierpeckiego, płońskiego się odbyły, gdzie przynależałem do ROAK-u, w którym komendantem takim lokalnego Obwodu „Mewa” był Józef Walenty Marcinkowski. Dawny peowiak. Potem brał udział w wojnie jako 20-letni chłopiec, wzięli go do artylerii i do 1929 roku pełnił służbę w pułku artylerii nr 8, polowej, dywizyjnej, w Płocku. Potem on znalazł się w Sierpcu, jak dokonywano odnowienia armii na początku roku 1931. Wtedy nowe roczniki zatrudniano na różnych stanowiskach, a zwalniano tych frontowców do domu. I on zadomowił się w Sierpcu. Tam się ożenił i tam pracował jako kierownik hipoteki przy

sądzie. Józef Marcinkowski, pseudonim „Wybój”, „Sęk”, następnie w ROAK-u „Łysy” albo „Stary”, a potem na konie „Brzeziński”. Był to mężczyzna z 1900 roku. Pochodził z gospodarstwa, ze wsi Mokowo, powiat Lipno. Więc mnie wtedy samego przyprowadzili na sprawę sądową w Sierpcu. Dostałem wyrok, tam było kilku świadków, którzy na ogół nic nie wnosili nowego, bo był jeden z mojej sekcji dywersyjnej, „Lew”, Mazurowski Zenon, który właściwie jeszcze mnie nieraz usiłował bronić. Chociaż mówił cały czas prawdę. Potem zeznawał dowódca oddziału ROAK-u, w którym się ukrywałem po wyspie, „Lis”, a nazwisko jego Ziółkowski Leon. To był z 1920 roku wachmistrz kawalerii. Już miał wtedy 50 lat i jeszcze konspirował za Niemców, i potem był w ROAK-u, właśnie w tym Obwodzie „Mewa”, którego dowódcą był Marcinkowski. Po wyroku, gdzie otrzymałem karę śmierci, nie pozwolili mi powiedzieć parę słów z matką, tylko otoczyli mnie ubecy i odprowadzili na UB, do tamtejszego aresztu, w którym przebywałem około dwóch dni i przywieźli mnie do Warszawy. I poprzez Informację, tutaj na Chałubińskiego, poprzez przechowywanie mnie jakby na Sierakowskiego, zabrano mnie do Sierpca. W ten sposób tam się odbyła rozprawa taka, nazywano to rozprawą pokazową. Tyle mogę powiedzieć o rozprawie. Na rozprawie jeszcze była świadkiem zakonnica, ale ona mnie nie rozpoznała, tak że ludzi tam było niewielu na takiej sali. Może jak to mieszkanie całe. Ale później mi mówiła sąsiadka, że przyszła ze swoją synową, to płakały, więc ktoś mnie jednak na tej sali żałował. Więc stamtąd, z Chałubińskiego przewieziono mnie na Mokotów i tam właśnie znalazłem się w celi śmierci na parterze, w skrzydle... Nie na parterze, a na piętrze, w skrzydle takim zachodnim, północno-zachodnim czy jak tam. Była to druga sala po wejściu na ten korytarz. Wszedłem oszołomiony, bo tam było 80 kilka osób. W tym przeszło połowa z wyrokami śmierci. Można tam było wyróżnić kilka grup takich towarzysko-koleżeńskich. Najbardziej liczna była IV Komenda WiN. Składała się z siedmiu osób. Ciepłiński, Lazarowicz, Kawalec, Błażej, Batory, potem Chmiel i ten ostatni, troszeczkę taki powiedzmy zbyt zamknięty w sobie, bo mówili, że przechodził tam pewne załamanie psychiczne, Józef Rzepka. To by było, jeśli chodzi o winowców. Wszyscy oni byli skazani na karę śmierci. Nieraz podwójną, nieraz potrójną, nieraz pojedynczą, nieraz poczwórną. Najwięcej tych wyroków, chyba ze cztery, miał Ciepłiński. Otóż oni trzymali się bardzo razem i przy jednym stole, tam jeszcze koło nich był kapitan Gracjan Klaudiusz Fróg i dowódca 3. Brygady Wileńskiej kiedyś. On dostał wyrok, też karę śmierci. Chociaż go podobno odznaczono takim orderem sowieckim, Bohater Związku Radzieckiego czy coś w tym rodzaju, co mu wcale nie pomogło. I następną taką grupą, która się trzymała razem, to był ten Wileński Okręg Eksterytorialny. Był tam pułkownik Olechnowicz, Antoni Olechnowicz, następnie Zygmunt „Łupaszka”, major, i kapitan Borowski „Trzmiel” oraz porucznik Lucjan Minkiewicz, „Wiktor”. To była grupa tych czterech. I oni zajmowali inny stół wraz tam z takimi, powiedzmy, partyzantami z rejonu Grójca, razem ze swoim dowódcą kompanii, to był Maciek Jeleń, tam Maciej Jeleń, następnie Woźniacki, chłopiec z gospodarstwa i właśnie ich dowódca kompanii. Też wszyscy oni mieli wyroki śmierci.

Tomasz Sudot: A jak ich pan zapamiętał?

Mieczysław Chojnacki: Słucham?

Tomasz Sudot: Jak pan ich zapamiętał? Czy oni... Jak się zachowywali, jaka była ich postawa?

Mieczysław Chojnacki: Wszyscy zachowywali się spokojnie. Grupy, które wyświetlają potem, to była jedna grupa, która potem brała udział w wyświetlaniu filmu, nie tak dawno i mnie tam też przywieźli, pokazywali stracenie, po-

wiedźmy, tych winowców z IV Komendy. I tam ja to obserwowałem, bo on tak... poza tą sprawą jeszcze można tam parę słów powiedzieć, takie wyjaśnienie, jaki oni popełniają błąd. Tam obserwowałem to, ale nikt z tych, co przyszli na moje łóżko pod sufitem i patrzyli, tam jeszcze dodatkowo dwóch, ja nie widziałem, żeby w ich oczach był strach, raczej był żal, a ten, który mnie odgrywał, to taki jakiś miał dziki wzrok i się podniosłem. Ja się nie podniosłem, bo ja leżąc na poduszce, wszystko to widziałem. Tak że są takie błędy. A takie szczególne błędy drażnią. Ja nie widziałem tam ludzi, którzy by wychodzili na stracenie i mieli jakieś dzikie spojrzenie albo płakali, albo coś. Wychodzili spokojnie zupełnie. Zupełnie spokojnie, przy mnie zabrano 12 oficerów i nie było żadnych spasmów ani żadnej awantury.

Tomasz Sudół: A jak się odbywało...

Mieczysław Chojnacki: To proszę szczególnie podkreślić.

Tomasz Sudół: A jak się odbywało wyprowadzenie na śmierć? Jak wyglądało to?

Mieczysław Chojnacki: Więc to było różnie. Chciałem jeszcze zaznaczyć, że gdzieś w połowie lutego 1951 roku już, to zamiast spać na betonie i na barłogu, i na takich siennikach, to wstawiono nam łóżka. Trzy kondygnacje były. I ja byłem z brzegu, bliżej tego niemiłego miejsca, które się nazywało kibel, ale koniecznego, i umywalki, dosłownie o jakieś półtora, dwa metry od okna i miałem możliwość obserwować. Łóżka były takie zestawiane po dwa, tak że jeszcze za moimi plecami był kolega, ale w czasie takich historii jak prowadzenie na śmierć, to tam się jeszcze ktoś wciskał między nas, bo oni już tego, mam wrażenie, nie kryli. Więc pierwszych stracili czterech wilniuków. Olechnowicza, Szendzielarza, Lucjana Minkiewicza i Borowskiego, kapitana. Ich po kolei zabierano, wywołując z celi. Pierwszy wyszedł Olechnowicz, wywołany, i było słyhać, że go wyprowadzają na korytarz, bo tam krata strzeliła i słyhać było, jak te trepy, takie drewniane, schodził na dół. Gdzieś schodził na dół i po 5-10 minutach wywołali następnego, Szendzielarza. On zatrzymał się przy drzwiach, wykonał taki półobrót i powiedział do nas: „Z Bogiem, panowie”. A myśmy odpowiedzieli mu: „Z Bogiem, panie majorze”. Chóralnie, można powiedzieć. I wyszedł. Wyszedł i też ten sam ślad, tupanie tych drewniaków i potem zanik tych kroków. Następnego wywołali „Trzmiela”, to jest Borowskiego Henryka, oficera tej komendy. Podobnie odszedł, spokojnie, bardzo spokojnie. Zresztą otrzymałem od niego taką pamiątkę, bo nie miałem chusteczki do nosa i ktoś zgubił, i go poprosiłem, i dostałem tę chusteczkę, to ją trzymałem, dopóki nie spróchniała jeszcze. Jeszcze kilka lat temu ją miałem, ale już była zupełnie dziurawa. I na końcu, po dłuższej jakiejś przerwie, może to było 15 minut, zabrali „Wiktora”, to znaczy Minkiewicza. Sądziłem, że może go ułaskawią nawet, może go nie zabiorą. Niestety, jednak zabrali go. To w ten sposób wyglądała sprawa z nimi, a jeszcze trzeba powiedzieć jedną rzecz. Mianowicie tam na, powiedzmy, skrzydle, gdzie był oddział żeński, przebywała pani Eberle i przebywała żona Minkiewicza. I kiedyś z grupą swoich koleżanek szły z łaźni, i ktoś obserwował i zaalarmował, że idą te dwie panie. Któryś z wilniuków. I wtedy stworzyliśmy taką grupę, która dyskutowała tam o byle czym, a ten miał możliwość, „łupaszko”, wyjść wyżej, pokazać się w oknie i tam gestami pożegnać się z panią Lwow, bo ona pochodziła z tej rodziny, z rodziny rosyjskiej Lwowów. Więc to takie było wzruszające dosyć pożegnanie i potem jeszcze Minkiewicz miał możliwość pożegnać swoją żonę. Niewiele dni później, bo 10 lutego, ja przebywałem gdzieś od nowego roku do 10 lutego, jak ich stracili, to około 40 dni. Oni trzymali się razem i nie kontaktowali z nikim. Tam przy tym stole to najbardziej takim był do nich zbliżony Maciej Jeleń, który nie żyje i właśnie ten kolega akowiec z Grójca.

Tomasz Sudoł: A jak wyglądał dzień w takiej celi?

Mieczysław Chojnacki: Słucham?

Głos: Jeszcze to jak ich prowadzili, to też pan widział.

Tomasz Sudoł: A, właśnie. Pan widział, jak ich wyprowadzano już na samą śmierć?

Mieczysław Chojnacki: Oczywiście, bo obserwowałem ich, jak oni wychodzili ze skrzydła, tam takie było wyjście na drukarnię i prowadzili wzdłuż magazynu mundurowego. Za magazyn mundurowy, między magazynem mundurowym a łaźnią była brama i tam w tę bramę wchodzili, a już tego nie widziałem. Tego już nie widziałem. Potem 15-20 sekund było słycać strzał wyraźny. Czasem dwa strzały po, powiedzmy, po kilku minutach. A prowadziło ich trzech. Dwóch, zwykle miał skrępowane ręce do tyłu i tutaj prawdopodobnie zaklejone, zakneblowane usta, bo było coś, chyba taśmę widać jakąś klejącą. Tak sobie wyobrażam to, bo nieraz jest taśma tej grubości. I trzymali ich pod pachę, i szli właśnie tam, jak mówiłem, tak od razu. Cała parada. Moment i człowieka nie ma. Sygnał był taki, że będzie egzekucja, na kilka minut przed tym, może na kilkanaście, naczelnik Grabicki, ubek taki, tam polityczny, i jeszcze lekarz ewentualnie, jeszcze ktoś, udawali się w tym kierunku około godziny 20:00. Już jak ciemno było. Kilka, trzy czy cztery osoby obstawiały ze straży więziennej, uzbrojony ten plac. Uzbrojeni byli. Prawdopodobnie i poza moim wzrokiem też gdzieś tam za łaźnią, czy za magazynem mundurowym też tam jakiś zbrojny musiał chyba stać. Ci, co prowadzili, możliwe, że mieli broń, a na pewno kat, który stał z tyłu, więc dwóch prowadziło pod ręce, a trzeci szedł z tyłu i niósł jakieś zawiniątko. Sądziłem, że to może jakiś worek na zwłoki albo coś takiego. W każdym razie to była jakaś płachta. I ten cały orszak niktął, i po kilku minutach wracał po następnego. I znów ta sama parada. Więc to wszystko obserwowałem, a szczególnie dokładnie, jak były te łóżka, bo przed tym to stracili właśnie wilniuków, tych, o których mówiłem. I wtedy obserwowaliśmy to na zmianę, bo staliśmy w piątkach, blisko wyjścia z celi. To jeden udawał, że idzie do kącika, gdzie trzeba wejść i tam stał minutę czy pół minuty, potem następny, potem następny i taką relację składał tam, co się dzieje. Ja też tam obserwowałem, poszedłem i przez chwilę obserwowałem, prawdopodobnie to był może „Wiktor”, chyba końcowy, już ten czwarty. To znaczy Lucjan Minkiewicz. A później był sygnał, przychodził, stukał w celę, że koniec apelu, kłaść się spać i na ten beton. A już jak rozstrzelali winowców, to byliśmy na łóżkach i wtedy nas już nie niepokoili i można było obserwować bez tych różnych sztuczek. Więc to wszystko można było też zaobserwować, większa ilość osób, bo już jak tam na pierwszym piętrze obserwowało ze trzech, na górze ze trzech i na parterze tam ktoś się mógł wychylić, już tak nie bardzo to taili. Nie bardzo to taili. To 1 marca byli winowcy. Już inaczej oni ich wyprowadzali. Mianowicie oni utworzyli jakieś pięć grup do wyjazdu i rzeczywiście ci inni ludzie to już nie wrócili do naszej celi. Prawdopodobnie wywieźli ich do jakichś więzień karnych, a i ci też nie wrócili. Tylko już wiedzieliśmy, że ich rozstrzelali, bo widzieliśmy to i nawet była tam pewna awantura. Z winowcami jak oni postąpili. Więc to było siedmiu chłopca. Trzeba to było jakoś zamaskować, więc uchyliły się drzwi i stanął oddziałowy, tam koło niego ktoś też jeszcze był ze służby więziennej i wyczytali sześć nazwisk, a między nimi dwóch czy trzech winowców. I ta cała grupa spakować się, i tam bagaże, to co tam miał jakieś osobiste rzeczy drobne, może ktoś przemycił książeczkę do nabożeństwa, może co, ale łyżka, miska tam i trochę żywności mógł mieć, kawałek chleba albo tam kupioną cebulę, bo była taka kantyna więzienna. Już nie przyjmowali paczek, a można było

kupić tam, powiedzmy, pół kilo margaryny na cały miesiąc. Taką najkonieczniejszą żywność, która wspomagała te, powiedzmy, jałowe zupy. Proszę panów, więc wyszła pierwsza grupa. Trudno mi określić, w jakim oni porządku ich w tym wyprowadzali, bo tych grup było cztery lub pięć. Bo wyprowadzili kaesowców dziesięciu nieuśaskawionych. Tymi trzema innymi to był taki z radzyńskiego gospodarz, trochę gospodarz, trochę cieśla wiejski, Zacheja Stanisław, z którym spałem na barłogu razem we dwóch. Był wspólny mianownik, Radzymin. Więc się dowiedzieliśmy o tym i on też miał karę śmierci, ponieważ przechowywał broń i nieraz przyjmował Roja, który wędrował w radzyńskiej, jak tam go za bardzo w ciechanowskim nacisnęli. Znać panowie ten pseudonim? To jego wyprowadzili. Potem takiego Pętkowskiego, właściciela majątku, gdzieś tam swojego i żony posag miał. Tam niektórzy go nazywali hrabią. Podróżnik, przejeździł część majątku, polował w Afryce, bardzo ciekawie opowiadał. Jego też zabrał, on też miał wyrok śmierci za szpiegostwo, tam jakaś sprawa taka była ambasadora angielskiego, brytyjskiego w Warszawie, taka dosyć znana, ponieważ tam polował razem z nim, to na wszelki wypadek szpiegostwo mu przypięli. I trzecim był niejaki Grzybowski Eugeniusz. To socjalista taki z tego, z socjalistów patriotów, jak powiedzmy Pużak, jak inni, jak Obarski, uwięziony też, miał wyrok śmierci, ale już był przede mną uśaskawiony i zabrany z tej celi. Więc ten Eugeniusz Grzybowski był z Warszawy. To był Warszawianin. Tak że dziesięciu kaesowców, myślimy sobie, ale to dopiero będzie rzeź. Dziesięć osób jednego wieczora. Tymczasem, jak już mówiłem, ten orszak przed moimi oczyma zaczął defilować. Prawdopodobnie pierwszy, bo takich było dwóch z figury podobnych, to był Ciepliński i Rzepka. Niżsi ode mnie, dzisiaj to jestem 5-6 centymetrów niższy, jak byłem wtedy, bo się rośnie do dołu, ale w każdym razie to byli ludzie takiej umiarkowanej postury i raczej trudno ich było rozeznąć. Więc sądzę, że pierwszego prowadzili Cieplińskiego. On już coś czuł i tak był ode mnie, jak pan, powiedzmy. Miał wyciągniętą dłoń i otaczało go kilka osób, zęgnając się z nimi tak, ale w tym momencie akurat nie zęgnali się już tak z nim, tylko słuchali, co on mówił. I miał tu medalik. Niektórzy mówią, że on miał medalik i łańcuszek. Na pewno był łańcuszek, ale nie na tej dłoni, bo na tyle ślepy nie jestem, żebym tego nie zauważył. To był mały srebrny, jak 20 groszy, okrągły i tam było można poznać Matkę Boską, ale czy to była częstochowska, czy jakakolwiek inna, to ja nie wiem, Matka Boska, bo trudno było odczytać przecież z takiej odległości, jeszcze to wytarte, bo to było pewno od dzieciństwa noszone. I powiedział, że jak będzie czuł, że to jest, jak to się wtedy mówiło, rozwałka, to on to połknie. Tyle mogę powiedzieć. I pożegnał się z tym, którzy go tam otaczali, i jak otworzyły się drzwi, to cała ta grupa skazanych na śmierć i do transportu, bo mieli nieraz 10, 15 lat wyroki, to przecież nie na śmierć ich zabrali. Po tym następni szli. Trudno powiedzieć. Rozpoznałem któregoś z kolei Lazarowicza, bo on miał i taką sylwetkę charakterystyczną, był szczupły, wysoki, nieco pochylony i miał charakterystyczny chód, szczególnie tak jakoś kolano, jak stawiał krok, to szło do przodu, potem się cofało do tyłu i to taki bardzo charakterystyczny był krok tego majora. To jego poznałem. To on chyba gdzieś był czwarty czy któryś rozstrzelany z kolei. Potem poznałem tego... no, kapitana... Taki przystojny facet, widzi pan, poprzednio powiedziałem, a teraz nie. Jego zastępcy...

Tomasz Sudot: Kawalca?

Mieczysław Chojnacki: Nie, nie Lazarowicz, tylko on był...

Tomasz Sudot: Kawalec?

Mieczysław Chojnacki: Ciepłiński... Kawalec. No właśnie. Mieczysław Kawalec. Więc jego można było poznać. To był wysoki dosyć mężczyzna, pięknie zbudowany, taki typowy oficer polski i to był prawnik. Skończył prawo na Uniwersytecie Lwowskim i on był jednym z zastępców Ciepłińskiego. Jego nie prowadzili. Widocznie on postawił im jakiś warunek, nim go skrupowano, żeby go nie prowadzili, żeby go nie dotykali. I on szedł tak, jak na defiladzie. Wyprostowany, energiczny, tak jak żołnierz. Bo to był żołnierz. W wieku 30-paru lat. Nikt, ani ci dwaj z boku, ani ten z tyłu, nikt, spokojnie przemaszerował i wiadomo, co dalej, było słyszeć strzał. Potem Lazarowicza, to mówiłem, że było łatwo poznać. Chmiela było łatwo poznać, bo był taki troszeczkę mocno zbudowany, powiedzmy, tysy, tysiny mu nie zakryli i w takiej długiej białawej kurtce, którą było wyraźnie można rozróżnić. I jak skręcali za magazyn to on się im wyrwał, rzucił się na ziemię i zaczął wrzeszczeć takim głosem rozdzierającym: „Mordują, mordują!”. I oni mu zarzucili, ten z tyłu, co szedł, na głowę jakąś płachtę, skrępowali i dosłownie powlekli go pod ramiona tam na miejsce stracenia. To był jedyny taki incydent z tymi właśnie w ogóle straconymi. To było takie... bardzo nas to poruszyło. Troszkę żeśmy łaciny polskiej użyli, to wiecie panowie, o co chodzi, bo trudno było wytrzymać, zamiast się przeżegnać i pomodlić, to myśmy tam użyli parę słów nieodpowiednich. Takich stracili siedmiu. Czekaliśmy na tych następnych. Nic. Koniec zabawy, nikt więcej nie szedł. I teraz przez tydzień, może nawet przez dwa tygodnie zastanawialiśmy się, co się stało z Pętkowskim, z tym moim cieślą, Zacheją, z Eugeniuszem, tym socjalistą warszawskim, co się stało. Po iluś tam tych dniach, tak jak mówiłem, drzwi się otwierają i oni wchodzi. Więc co się działo, zaczęli opowiadać. Szczególnie Grzybowski Eugeniusz, bo Zacheja to raczej nie. Zacheja raczej nie, ale Grzybowski Eugeniusz, Pętkowski zaczęli mówić naraz prawie, że ich zamknięto też obok tam i oni słyszeli te kroki, zatrzymywali się przy ich drzwiach, potem szli dalej i wyprowadzali, wyprowadzali, wyprowadzali. Wracają i stają przed ich drzwiami, otwierają drzwi, a oni się poprzednio pożegnali. „Hrabia” pożegnał się... Wrócili. I zaczęli opowiadać, że ich tam zamknęli w tych celach, to znaczy ich trzech osobno zamknęli w jeden celi, oni każdy raz przeżywali, jak ci przechodzili, nieraz się zatrzymali przy drzwiach naprzeciwko albo tu, albo ówdzie, jeszcze nie po nas, jeszcze mamy chwilę, możemy się pożegnać i „Hrabia” całował się, i żegnał się z tym rolnikiem, z tym, to takie troszeczkę może zabawne w tym wszystkim, może to niepotrzebnie opowiadam, z tym socjalistą też się ściskali. Wszyscy już byli pogodzeni, już nie potrzebowali się sprzeczać o różne swoje poglądy. Co to znaczy jednak, że strach. Więc otworzyły się te drzwi i oni stanęli we trzech i pytają po kolei, nazwisko, nazwisko, nazwisko, oni odpowiadają. A teraz kogo wezmą. Postali trochę, uśmiechnął się ten chyba kat, co wtedy użył płachty tej i mówi: „Dobranoc wam”. Zamknęli drzwi i w porządku. Fajnie było, nie? I potem jeszcze jeden dramat był z Gracjanem Frógiem. Wtedy ja już byłem utaskawiony i był utaskawiony Niemiec, wysoki szczebel esesmana, to był szef chyba kancelarii Greisera, poznańskiego, tego władcy prowincji poznańskiej. Nazywał się Otto Heppner. Czy Wolf Heppner. Coś takiego. Więc jego wywołali, wywołali „Szczerbca”, Gracjana Fróga i wywołali mnie. Ja byłem utaskawiony już wtedy. Więc, proszę panów, nas wprowadzili, ustawili przy sąsiedniej celi i chcąc wiedzieć, co się z nim stanie, ja powiedziałem, bo pierwszy szedł ten szwab, taki dosyć wysoki, typowy pruski oficer, ja mówię... A doskonale mówił po polsku, bo „Krzyżaków” czytał Niemcom i tłumaczył od razu. Więc mówię: „Może puścimy tego, jak się chwilę oddalił do zamykania celi kaesa, i wtedy się Fróg przesunął na czoło. Myślimy: „Będziemy mieli pewność jakoś, co się z nim stało”. I wrócił, Fróg normalnie chciał wejść tam, a on mówi: „Wy nie, wy tutaj na korytarz do drzwi”. A myśmy weszli we dwóch. I właśnie ciekawa rzecz, że w tej drugiej celi byli różni ludzie, byli duchowni, była grupa duchownych, która się osobno trzymała, byli to jezuici i inni. Tam ich było chyba pięciu, może czterech, może pięciu, sześciu raczej nie. Był nawet jezuita warszawski, którego nazwisko zapamiętałem, ojciec Bulanda. Ich prowincjał. To jeśli będzie chwila czasu, to... chciał mi podarować kromkę chleba, bo rzekomo

nie mógł zjeść, a ja mu powiedziałem tak: „że na pewno będzie świętym” i on tak się obruszył, ale mówię: „Kromki chleba ojcu nie wezmę, bo jak swoją zjem, to mi wystarczy. Jak innym wystarczy, to i mnie wystarczy”. I go odesłałem z tą kromką chleba. Czy on komuś tam jeszcze ją proponował, to już nie wiem, nie powiem, ale to taka była dosyć charakterystyczna dla tego jednego duchownego scena, dla ojca Bulandy czy Bułandy, nie wiem. Co jeszcze mogę... aha, i zabrali Fróga. Obserwowaliśmy i nie prowadzili go. Widocznie uszykowali coś innego. Prawdopodobnie na miejscu, gdzieś w skrzydle, jak mieli karcery, to mogli jeden przystosować, bo następnego dnia też go nie prowadzili i to tak zeszło, i nie wiadomo właśnie, w jaki sposób go stracili, ale na pewno go stracili, bo jest na liście, tej straconych. I zdaje się, że jest nawet na tej tablicy na Mokotowie tam, bo jest i Marcinkowski, jest i Łupaszka, są inni, ale nie zwróciłem uwagi, czy on jest. Więc to taka była historia z tym. A jeśli chodzi o ułaskawienie mnie, to też tam, to trochę było tak, trochę w tym gry. Można to opowiedzieć, czy już nie?

Tomasz Sudół: Tak. Proszę bardzo.

Mieczysław Chojnacki: Więc, proszę panów, wywołano mnie. Akurat byłem przy drzwiach.

Byłem przy drzwiach, tam z kimś rozmawiałem i byłem o krok od drzwi i się uchyliły, i wywołano moje nazwisko i imię. Więc tam się skłoniłem i wyszedłem. Wszedłem, zaprowadzili mnie na dół i prowadził mnie jeden. Tak jakoś dosyć swobodnie było. I tam przed wejściem do gabinetu naczelnika to stał taki zegar szafkowy, mniej więcej mojego wzrostu i tam mnie ustawili koło tego zegara, i kazali czekać. Tak się dyskretnie obejrzałem, nikogo koło mnie nie ma, ale ktoś mnie musiał obserwować na pewno. Stałem tam. Trudno mi powiedzieć, pięć, mniej czy więcej minut, ale tak coś koło tego. Potem drzwi się uchyliły, i zawołał mnie ktoś, wszedłem, powiedziałem swoje nazwisko i imię, zatrzymałem się przy drzwiach, stojąc, ale ja mam taką jakąś naturę, muszę tu pewną rzecz wyjaśnić, że jak mi czytano wyrok śmierci, to ja się zachowałem bardzo spokojnie, bo to nawet potem sąsiadka, ta, która była, mi mówiła potem po wyjściu na wolność. Stąd szła taka fala zimna, aż do gardła i mnie wtedy stawało się wszystko jedno, co będzie. Byłem zupełnie obojętny, jak mógłbym stanąć obok siebie i to... I jak mi odczytano ten wyrok, to mnie... On się nazywał Holler i jego nazywali z imienia, tam powiedzmy „Krwawy Henio”. On się Holler nazywał, ten przewodniczący sądu. A młodszy ode mnie chyba o trzy lata prokurator, to byłem trochę zły, bo mnie nazwał hitlerowcem. Dlaczego akurat hitlerowcem? Hitlerowcem to raczej on był, a nie ja. Więc to taka była dosyć... I jak wszedłem tam do Grabickiego, do tego fryzjera byłego łódzkiego, podobno majora, więc on siedział przy biurku, a obok stał oparty widocznie oficer polityczno-wychowawczy, ubek więzienny, chyba Kominek nazwisko. Chwilę poczekali, aż sobie postawem moment i potem mi odczytał, że Sąd Najwyższy wyrok zatwierdził. Znow chwilę sobie odpoczął i mówi, że prezydent mnie ułaskawił i żebym podpisał to, że przyjąłem do wiadomości. To podszedłem i podpisałem. I właśnie znow to zjawisko mnie wtedy ogarnęło przed tym, jak on czytał wszystko. Taki złodowaciały stamtąd wyszedłem i przyszedłem na górę, to tam była taka zawsze radość, jak ktoś wrócił.